

MAGDALENA KUŁAGA
UZDROWICIEL.TOM III



ZATOKA NIEWOLNIKÓW

MAGDALENA KUŁAGA

UZDROWICIEL ZATOKA NIEWOLNIKÓW



[Kup książkę](#)

© Copyright by Magdalena Kułaga & e-bookowo

Okładka: Katarzyna Jackiewicz – www.okovabi.com

Redakcja: Izabela Jurkiewicz

Korekta: Izabela Jurkiewicz

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-187-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wydanie I rok 2021

Tekst w całości ani we fragmentach nie może być powielany ani rozpowszechniany za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, w tym również nie może być umieszczany ani rozpowszechniany w postaci cyfrowej zarówno w Internecie, jak i w sieciach lokalnych bez pisemnej zgody autorki Magdaleny Kułaga i wydawcy.

[Kup książkę](#)

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję osobom, które pomogły mi przy tworzeniu książki.

Gorące podziękowania dla Pani Izabeli za pracę nad książką, wielką cierpliwość dla roztrzepanej autorki i wszelkie uwagi.

Dziękuję Pani Katarzynie za projekt okładki (wszystkie trzy projekty).

Dziękuję E-bookowo za wydanie książki w języku polskim.
Za spełnienie marzeń autorki.

Pani Marii dziękuję za wersję anglojęzyczną.

Dziękuję rodzinie, zwłaszcza mężowi, za wsparcie przy ostatnim tomie. Córcie, która z cierpliwością wysłuchiwała o książce.

Wreszcie dziękuję ludziom, u których pomysł powstał i rozpisywał się na kartach notatnika. Damian i Daniel – to o Was.

Katarzynie, której mroczne książki towarzyszyły mi duchem.
Magdalenie, matce pół-smoka.

Agnieszce, za wszystko.

I wszystkim Wam, którzy czytaliście, czytacie i będziecie czytać Uzdrowiciela.

Ta książka jest dla Was.

Magdalena Kułaga

Azram, król Zatoki Niewolników, swoje królestwo zbudował na cierpieniu i krzywdzie ludzi, których sprzedawał w niewolę. Pewnego dnia, gdy miał już dość złota, by mieć dwa królestwa, rozkazał rozbudować swój pałac i nazywać się odtąd królem. Panował twardą, nie znającą litości ręką, lecz ciągle było mu mało. Zwrócił się o pomoc do demonów, gdyż chciał objąć władzę nad całym światem. Demony przybyły na wezwanie. Oszukały go jednak. Kazały mu składać ofiary, aż je przekona. Azram zaczął więc składać ofiary ze zwierząt, by ugłaskać demony. Potem przyszła pora na ofiary z ludzi. Król składał w ofierze dziewice o dobrym sercu, najwrażliwsze, jakie mu podsyłano. Potem zaczął szukać ofiar wśród dzieci, lecz i to nie pomogło. Zło tymczasem zakradało się, rosnąc w siłę. Wreszcie król dostał wskazówkę: jest na świecie dwóch ludzi, których serca zadowolilyby pragnienie podziemnego świata. By zło pomogło mu w zdobyciu władzy nad całym światem, musi poświęcić na ołtarzu Opiekuna Ludzi lub Czarodzieja Serca.

Król szukał ich po całym świecie, aż pewnego razu usłyszał opowieść o niezwykłym uzdrowicielu...

ROZDZIAŁ 1

Wiwan czytał list.

Lena zatrzymała się w trakcie niespokojnego spaceru po pokoju, by spojrzeć w twarz syna. Jej oczy, naznaczone już niegdyś rozpaczą, przeszywał lęk. Znów przyszedł list z tego miejsca! Od tych ludzi! Poznała pieczęć rodu Beckertów, ten wyrafinowany styl. Wciąż czuć też było mdlący zapach perfum. To ta kobieta! Każdy list, który ostatnio przychodził z tamtego miejsca, napełniał jej serce obawą. Było w nich coś złowieszczonego. Jakby kryła się w nich trucizna. Te wszystkie listy zdawały się coś przed nimi skrywać. Niosły w sobie mrok, którego nie umiała przeniknąć. Nie mogła znieść ich widoku.

– Co to jest? – zapytała, ledwie zachowując spokój.

Erlon, jej mąż, widząc wyraz jej twarzy, podszedł do okna, próbując ukryć zdenerwowanie. To nie był dobry znak. Wiedziała o tym. Rzadko bywał tak wytrącony z równowagi.

– To list od nich? – zapytała, by przerwać nieznośne milczenie. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Wiwan spojrzał na nią. W jego oczach ujrzała odbicie własnych uczuć. On również przeczuwał kłopoty.

Od ataku wiedźmy oboje odczuwali wszystko jakby mocniej niż przedtem. Głębiej. Nie wiedziała, czy nauczyła ich tego ostrożność, czy może silniejszy niż kiedykolwiek przedtem dar jej niezwykłego syna...

– Co się stało? – zapytała, lecz nie on udzielił jej odpowiedzi. Wiwan wiedział już, jaka będzie jej reakcja na słowa, które za chwilę usłyszy. Pozwolił, by ojciec odezwał się pierwszy, choć ona nie spuszczała zeń wzroku, z niemym wyrzutem w swoich łagodnych oczach.

– Moja matka jest umierająca – odezwał się mąż ponurym tonem. – Prosi, żebym nakłonił swojego niezwykłego pasierba do przyjazdu. Zapewni mu wszelkie wygody. Zjawi się po niego powóz. Mamy czas na decyzję...

Poczuła, jak ogarnia ją fala gniewu. Ci ludzie mieli czelność prosić o jej syna?! Oni, którzy porzucili Erlona, zarzekając się, że nigdy nie przyjadą w to miejsce?! Ta okropna kobieta zbesztала Wiwana przy wszystkich, w dniu jego urodzin, jakby był niewychowanym smarkaczem! Przez całe lata niemal ich ignorowali...

– Jakich słów użyła ostatnio? – zapytała z oburzeniem. – Powiedziała o Wiwanie, że jest POŻYTECZNY! Pożyteczny, bo użyteczny – zakończyła szyderczo.

– Wiem, kochanie – Erlon cicho wszedł jej w słowo. – Nie namawiam was do niczego.

– Dałeś mu ten list!

– Jestem tutaj, mamo – odezwał się cicho Wiwan, po raz pierwszy odkąd przysła.

Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: „Dobrze wiesz, czemu to robię”.

– Uznałem, że będzie lepiej, jeśli się dowie – rzekł Erlon, nie patrząc na nią.

– Dlaczego?! Poprzednie listy zdołałeś przed nim ukryć!

– Poprzednie?! – zareagował Pafian, ich młodszy syn, także obecny na spotkaniu. – A więc było ich więcej?!

– Tylko dwa. W zeszłym tygodniu – odparł niechętnie ojciec. – Chciałem Leno... – zaczął z wahaniem, patrząc na twarz żony, której wzrok wciąż spoczywał na starszym synu.

Czekała na jego słowa, w jej głowie brzmiały niczym wyrok.

– To jego matka – odezwał się cicho.

Lena chwyciła tren długiej, błękitnej sukni, by znaleźć się przed nim twarzą w twarz. Nie mogła uwierzyć, że te słowa naprawdę wyszły z jego ust.

– Dlaczego to robisz?! – zapytała go z mieszaniną gniewu i żalu. – Ta kobieta sprzedałaby cię za łyżkę soli, gdyby uznała, że mógłbyś w ten sposób być dla niej UŻYTECZNY, Wiwanie!

– Poprosiła o mnie...

– Jesteś uzdrowicielem! O kogo innego mogłaby poprosić?!

– Mamo... – syn spojrzał łagodnie w jej pełne niepokoju oczy.

– Ranisz uczucia ojca...

Poczuła się tak, jakby wylał na nią kubeł zimnej wody. Miał rację. Spojrzała na męża, gdy ten rzekł cicho:

– Ona ma rację, Wiwanie...

– To twoja matka, tato – głos Wiwana, który z odwagą znosił pełen rozpacz i gniewu wzrok własnej matki, był stanowczy.

– Dlatego nie wiedziałem, co robić – przyznał zmieszany ojczym. – Chciałem, żebyś wiedział. Żebyś pomógł mi podjąć decyzję... Zamierzam jej odmówić. Nie pojedziesz! – powie-

dział nagle stanowczo. – Twoja matka ma rację. Cały ten czas traktowali nas podle. Zwłaszcza ciebie, a ty...

– Nie – przerwał mu Wiwan łagodnie i ze smutkiem. – Ciebie.

Erlon spojrzał na swojego niezwykłego syna w rozterce, dyktowanej rozpaczą. Miał zbyt dobre serce, wiedział o tym. Lecz kto w tej rodzinie go nie miał? Czasem wydawało mu się, że swoją szlachetnością zarażali otoczenie wokół. Świat nie odpłacał im tym samym, a jednak trwali w tym spojeni niezwykle więzią, której głównym ogniwem był jego niezwykle przybrany syn.

– Co mam robić? – zapytał cicho.

– Mogłeś mu tego nie pokazywać – wysyczała Lena, wciąż nie mogąc zapanować nad wzburzeniem.

– Daruj, mamó – odezwał się wreszcie Pafian. – Naprawdę myślisz, że przed Wiwanem mogłabyś cokolwiek ukryć? Wystarczyłoby mu jedno spojrzenie na ojca, żeby nabrać podejrzeń. Po-tem tak długo drążyłby skałę, aż wszystkiego by się dowiedział.

– Dzięki – mruknął brat w odpowiedzi.

Pafian uśmiechnął się do niego, choć był to uśmiech pozabawiony radości.

Wiwan stanął przy oknie. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu spokojnemu rytmowi miasteczka. Stąd było widać port, gdzie cumował w tej chwili galeon Waleria należący do jego przyjaciół, oraz kilka innych statków kupieckich, a także wiele mniejszych łodzi rybackich. Budowano nowe domy i małe mosty przez większe górskie strumienie. Coraz więcej ulic nie przypominało już ubitego traktu. Szlak tych brukowanych zaczynał się od bram murów i sięgał z każdym miesiącem coraz dalej, wspomagany funduszem miejscowych. Dobrze wiedział, że tak dynamiczny rozwój w ostatnim czasie Barnica zawdzię-

cza w dużym stopniu jemu samemu. Czuł się z tym trochę nie-swojo. Nigdy nie wywyższał się z powodu swojego niezwykle-go daru. Świadomość, że ktoś decyduje, by osiąść tu na stałe, by znaleźć się blisko uzdrowiciela, sprawiała, że czuł ciężar odpowiedzialności za nowego przybysza i wszystkich pozostałych w miasteczku. Ci ludzie na nim polegali. Ufali mu. A było ich coraz więcej i więcej.

Mógł tylko mieć nadzieję, że nigdy się na nim nie zawiodą. Zrobi co w jego mocy, by tak się stało.

Nie lubił ostatnio opuszczać domu. Ta podróż z pewnością nie przyniesie mu nic dobrego. Nie wybierał się przecież w przyjazne mu miejsce. Nie mógł się tam spodziewać wylewnego powitania. Tym razem raczej nie skończy się na uleczeniu i natychmiastowym odprawieniu go do domu, gdy przestanie być potrzebny. Czuł to.

Lecz to była matka jego ojczyma, a jemu nie umiałby odmówić.

– Jadę – powiedział cicho.

Jego matka westchnęła głośno. Erlon ponownie próbował zaprotestować, lecz Wiwan uciszył go gestem.

– Jadę z tobą! – rzekł na to Pafian twardo, tonem nie znośnym sprzeciwu.

– Nie zaprosili cię...

– Mam to gdzieś! – prychnął jego brat. – Nie pojedziesz tam sam!

Lena delikatnie wyjęła list z dłoni syna.

– Zaprosili kogokolwiek poza tobą? – zapytała, nie patrząc na męża.

– Nie – odparł Erlon za syna.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Spuścił wzrok.

– Tym bardziej! – powiedział na to Pafian zapalczywie. – Sam tam nie pojedziesz! Oni nie wyrzucą swojego prawowitego wnuka – ostatnie słowa wypowiedział z pogardą, ujawniając tym samym, co o tym myśli. – Jadę!

Ze względu na ważne wydarzenie, wyjazd przełożono o kilka dni. Choroba, którą opisała matka Erlona, była poważna, lecz nie rokowała szybkiego zgonu, dlatego podjęto taką, a nie inną decyzję. Wiwan nie znosił zwłoki, jednak za nic na świecie nie zrezygnowałby z tego, co miało nastąpić. Poza tym przeczuwał, że za tą chorobą coś się kryje... Nie podobały mu się dręczące go złe przecucia. Zbyt wiele w nich było mroku...

Tego dnia, po roku dyskretnego oczekiwania w miasteczku, jedna z par będących w kręgu bliskich przyjaciół uzdrowiciela miała się pobrać.

W tym dniu pan młody kończył zaledwie dwadzieścia lat, lecz nikt nie miał wątpliwości, że pod względem przebytych doświadczeń i godnej podziwu dojrzałości przerażał innych wiekiem.

Oliwier zmienił się w ciągu ostatniego roku. Z wyglądu mniej przypominał delikatnego młodzieńca. Nosił krótkie, pozornie niedbale przycięte włosy, które nadawały mu buntowniczego wyglądu, a także wyraźny zarost, który mimo jego nadziei nawet po dość długim czasie nie zamienił się w niewielką brodę. Tak niestety miało pozostać. Zawsze był sprężysty, a jego mięśnie były już wcześniej nieźle zarysowane od nieustannych wspinań. Kolejny rok tylko to pogłębił.

Wyróżniał się też charakterem.

Wierny Sai, z którą zaręczył się zimą, wciąż w zasadzie stronił od ludzi, lubiąc swój cichy sklepik z ziołami i przyprawami, po które czasem wyprawiał się z ukochaną w odległe rejony królestwa. Potem spisywał to, co zobaczył w swoich dziennikach wypraw.

Upłynęło kilka miesięcy, nim ktoś z załogi statku Waleria wyjawiał mu, że kapitan Ross, którego nazywano jego bratem, choć nie więzy krwi ich łączyły, także spisywał swe dzieje.

Ross potwierdził to z pewnym wahaniem. Wciąż jeszcze wstydził się swojego charakteru pisma i sposobu, w jaki dobierał słowa, by opisać swoje morskie podróże, mimo że szło mu to coraz lepiej, zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku. Sel dyskretnie starał się mu w tym pomagać i tylko przy nim na razie Ross się nie ukrywał. Dotąd nikomu nie przeczytał swoich zapisów, w przeciwieństwie do Oliwiera, który dawał się do tego namówić w czasie niektórych wieczorów. Wtedy ludzie wiedzieli, że nie próbuje ich unikać, a jedynie zgłębia wiedzę, by móc następnie ciekawie przedstawić wydarzenia za pomocą gestów czy intonacji. Wiedzieli, że taki ma po prostu charakter, może ukształtowany nawet przez przeszłość. Cieszył się, że ma teraz przyjaciół i bliskich, ale od czasu do czasu lubił swoją samotność.

Wszyscy chcieli, by jemu i Sai się powiodło. Jej dawne życie mogłoby sprowadzić ciemne chmury na ten związek, lecz sympatia mieszkańców miasteczka i miłość tych dwojga, a zwłaszcza postawa Oliwiera, który twardo był gotów bronić Sai przed echami przeszłości, dawały nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Dziś był ich ślub.

Oliwier westchnął cicho, widząc ubraną we wspaniałą suknię Sai, ozdobioną zgodnie z tradycją przyjętą ogólnie w królestwie. Delikatny fiolet i hafty, które zawierały w sobie elementy miejscowego folkloru, oraz lekki zwiewny welon łączyły w sobie symbole tej krainy, którą upodobało sobie jej serce.

Nawet przez moment się nie wahał.

Pragnął jej, nie tylko fizycznie. Łączyła w sobie tak wiele marzeń... Tych o stabilizacji, spokoju, miejscu w życiu. Oboje o tym marzyli. Będą się starali, by te marzenia odnalazły się w rzeczywistości. Oboje bardzo tego pragnęli.

Sai spontanicznie odrzuciła welon, by obdarzyć go pocałunkiem, jak tylko hrabia Erlon udzielił im swego błogosławieństwa.

Oliwier ledwie zdał sobie sprawę z tego, że wokół zabrzmiały okrzyki radości...

Połączono ze sobą wiele namiotów, aby zebrać wszystkich mieszkańców miasteczka w tym wyjątkowym dniu. Czołowe miejsce zajęła para nowożeńców, obok nich hrabia z rodziną. Ponieważ ani Oliwier, ani Sai nie chcieli, żeby któryś z przyjaciół czuł się pominięty, zbudowano ogromny, okrągły stół, który czasem miał zająć zaszczytne miejsce we wciąż odbudowywanym pałacu. W ten sposób wszyscy drodzy im przyjaciele zostali potraktowani równo, a nawet znalazło się miejsce na kilkoro nowych w przyszłości. Ponieważ pracą nad nim zajął się Sel, był on dziełem szczególnym i wyjątkowo imponującym. Stół ten bowiem można było według potrzeby zmniejszać lub dokładać doń nowe części. Kilka z nich wciąż jeszcze kończono. Wyrzeźbienie jego nóg w kształcie tygrysa – na pamiątkę dzielnych zwierząt, broniących Wiwana do

śmierci – było wspaniałym dziełem jednego z przybyłych do miasteczka artystów, który przyплыł tu zza morza, słysząc o uzdrowicielu, po czym zaoferował mu swoje usługi. Alvar był zachwycony tym, że może zrobić coś dla niezwykłego człowieka, który uczynił tak wiele dla innych, a do tego pokonał demoniczną wiedźmę. O tym szybko rozeszły się wieści dzięki żeglarzom. Nie zgodził się na to, żeby zająć miejsce przy stole w czasie wesela, tłumacząc, że mogą tam znajdować się jedynie przyjaciele i rodzina, a do żadnej z tych kategorii póki co, według jego mniemania, jeszcze się nie zaliczał. Uhonorowano go więc gromkim toastem zgromadzonych. Byli już wśród mieszkańców tacy, którzy złożyli mu pierwsze zamówienia w czasie wesela. Prosił ich o cierpliwość, gdyż wciąż jeszcze w pełni nie ukończył prac na pokładzie Walerii. Zostało już niewiele, gdy pokierował grupką swoich uczniów. Po niemal roku po dawnej Cadelii pozostało jedynie wspomnienie, a nowy galion, czyli figura na przodzie statku, przedstawiał Walerię, dawną przyjaciółkę i opiekunkę Rossa, chwytającą w dłonie wiatr. Alvar tak bardzo zżył się z załogą, że nie mógł przywyknąć do myśli, iż kiedyś go między nimi zabraknie, tak wiele przecież spędzili ze sobą czasu. Ross i Sel nawykli już do codziennych nawoływań Alvara, szukającego swoich czterech uczniów każdego ranka. Jego pracy oraz mierzwienia czarnej brody, gdy nad czymś dumał. Przede wszystkim zaś jego fajki, której tajemnicze zioła pachniały na pokładzie każdego dnia i z którą prawie nigdy się nie rozstawał. Do tego dochodził nawyk nerwowej gestykulacji, gdy nie był z czegoś zadowolony, a nawet mruczenie jakiś słów w rodzimym języku niczym wyjątkowo zdenerwowana czarownica. Mimo to zarówno uczniowie, jak i załoga wiedzie-

li, że gniew Alvara, który potrafił kłócić się nawet z kapitanem, gdy ich wizje się nie pokrywają, nie są wieczne i tak naprawdę nie potrafi się wściekać. Avlar współpracował z Selem. Darzył ogromnym respektem jego projekty, zdumiony jego rozwijającym się talentem. Był jak starszy brat, gdyż dobiegał już lat pięćdziesięciu. W wielu sytuacjach jego podpowiedzi plus pomoc niezawodnego Silasa, który był w załodze Rossa od początku, pomagały niedoświadczonemu kapitanowi i jego partnerowi w podjęciu decyzji w czasie żeglugi. Uniknęli w ten sposób wielu błędów i wyrobili sobie odpowiednią reputację, podsycaną jeszcze dodatkową, choć przyjmowaną już z mniejszą chęcią przez Rossa opowieścią o jego niezwykłym talencie jako Czarodzieja Klejnotu. W portach, za sprawą załogi, zaczęto mówić o białowłosym czarodzieju, kapitanie statku. Rozsiewano niesamowite plotki o tym, że gdyby go zdenerwować, ześle sztorm na zuchwalców. Jego statek prowadzony jest jego mocą. Gdy się zaś zrobi komuś krzywdę, znajdzie cię i dotknięciem zawładnie twoją duszą.

Rossa nie bawiła ta część zasłyszanych opowieści, ponieważ jednak budziły one należyty respekt, zmuszony był po prostu się z nimi pogodzić.

Na środku stołu, zgodnie z życzeniem wszystkich, znalazła się płaskorzeźba montowana oddzielnie, a zarazem spajająca całość. Przedstawiała klejnot, który nosił na szyi Wiwan, oraz jednocześnie Klejnot Nadziei...

Gdy pierwszy raz Wiwan i Ross zobaczyli tę rzeźbę, wywołała w nich niezwykle poruszenie. Nikt poza nimi dwoma nie nosił rubinu, trzymanego przez dłonie. Z wielu względów postanowiono, że tak właśnie ma pozostać.

W końcu obaj właściciele klejnotów byli unikatowi. Jedyni w całym królestwie. A może i na całym świecie...

– Zdrowie młodej pary! – zakrzyknęli wszyscy zgodnie.

Każdy wypił trunek. Gdy wokół było tak wielu ludzi, wrażenie było naprawdę niezwykle.

Sai przytuliła się do dziś wyjątkowo często uśmiechniętego Oliwiera, obejmując go z czułością. Jej ciemne, piękne oczy błyszczały.

– Wiwan! Ross! – zawołała Seme, gdy otoczenie ucichło.

– Kiedy wasza kolej, chłopaki? – potem, zapewne pod wpływem wzruszenia i emocji, bez zastanowienia dodała: – Kiedy doczekam się pierwszych dzieci w tym gronie? – omiotła wzrokiem zaskoczoną młodą parę i wspomnianych wcześniej przyjaciół, zmieszanych tą niespodziewaną uwagą.

Wiwan natychmiast wyczuł napięcie Rossa oraz lekkie zdenerwowanie Sela, połączone z pobłażliwością, choć nawet na nich nie patrzył. Innym zrozumienie niezręczności tych słów zajęło nieco więcej czasu. Odezwał się pierwszy, ujmując dłoń Waszeby.

– Seme – powiedział łagodnie. – Na te pytania dzisiaj ci nie odpowiemy.

Zerknął na Rossa, a potem na Sela, który pochwycił jego spojrzenie. On także niezawodnie wyczuł zdenerwowanie kochanka.

– Tak – odezwał się jego przybrany ojciec, próbując zatuszować niezręczną sytuację. – Dzisiaj jest ważny dzień...

– Ross, kochanie, nie gniewaj się – przerwała mu Seme, zła na siebie, gdy już zdała sobie sprawę ze swojego błędu. – Palnęłam bez pomyślunku. O dzieciach to ja do nich mówiłam...

– Wskazała ręką na Wiwana i młodych, niezręcznie próbując ratować sytuację.

– My nie możemy mieć dzieci... – odparł Ross cicho, lecz dobitnie, potęgując ich zmieszanie.

Seme wstrzymała oddech, teraz już nie wiedząc, co ma powiedzieć. Może byłoby lepiej, gdyby rzeczywiście trzymała język za zębami. Teraz jednak chciała jakoś z tego wybrnąć.

– Wiesz, w życiu bywa różnie... – zaczęła niepewnie.

Istna katastrofa.

Sel błagalnie uciszył ją gestem. Sam zaniepokoił się reakcją Rossa. Czuł, że ma z tym coś wspólnego, a raczej jego dwuznaczna natura, którą ujawnił w Domu Rozkoszy.

Wyczuł, że sąsiadujący z nimi biesiadnicy zaczynają się już wsłuchiwać w tę przedziwną rozmowę.

– Rozumiemy, Seme – uśmiechnął się do niej pokrzepiająco, bo naprawdę rozumiał, że nie miała ma myśli nic złego. To były tylko żartobliwie wypowiedziane słowa, które można było potraktować z humorem.

Ross zaskoczył wszystkich swoją nerwową reakcją.

– Przepraszam was – zwrócił się w imieniu swoim i kochanka do młodej pary.

Sai uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Braciszku? – Oliwier zwrócił się żartobliwie do swego nowego brata, jak przywykł to robić od dłuższego czasu. Nie miał już nikogo z najbliższej rodziny. Jego potrzeba, by utrzymać choć cząstkę z dawnego życia, wiązała się z Rossem, który w krótkim czasie stał się dla jego zmarłej siostry bardzo bliski. Budził w nim wspomnienia o Julien, te dobre i pełne miłości. Ross nie tylko doskonale to rozumiał. Był mu wdzięczny za tę braterską więź, a to łagodziło jego lęk o dalszą przyszłość, gdy obaj tak mocno stali się ze sobą związani.

Spojrzał na niego. Zobaczył w jego oczach niemą prośbę o wyrozumiałość.

Uśmiechnął się więc ciepło do Seme.

– Nie mam o co się na ciebie gniewać – powiedział. – Nic takiego się nie stało.

Stało się. Sel wiedział o tym... Trująca myśl przeniknęła już ich umysły. Westchnął cicho, czując niepokój. Nie dał przecież powodu do...

„Wiesz, w życiu bywa różnie...”

To zaczynało boleć.

Wiwan wyczuł tę trującą myśl, jakby w melodii otaczającego go świata usłyszał nagle głośny, niemiły dla ucha zgrzyt. W jego sercu przerodziła się w dodatkowy niepokój, nie tylko z powodu przyjaciół. Spojrzał na Waszebę. Ewidentnie chciała mu powiedzieć o czymś ważnym. Zdradzało ją spojrzenie. Teraz ucisnęła jego dłoń, uśmiechając się lekko. Gdyby chciała nawiązać do słów Seme w jakikolwiek sposób, już by to zrobiła. Więc ta rozmowa nie będzie o ślubie ani o dzieciach... Nie. Co do tego byli zgodni. Nie chcieli się spieszyć. Żadne słowa Seme czy spojrzenia jego dziadków nie mogły skłonić ich do tego, by ulec. Chcieli tego, lecz podobnie jak ich przyjaciel Oliwier, to oni postanowili decydować, kiedy ten czas nastąpi. Jak dotąd poznawali siebie nawzajem, bez pośpiechu. Gdy nastąpił wreszcie spokojny czas w życiu miasteczka, spędzali go na długich, tajemnych wyprawach. Spędzali go razem, zanurzeni w pieszczotach, dotyku i miłości. Wiwan był pewien, że Waszeba poznała już wszystkie jego słabości, jego koszmary i ogrom emocji, które w sobie kumulował. Widziała jego dobre dni i takie, które wołałby zatrzymać dla siebie, lecz nie

miął na to wpływu. Wiedział, że czasem nie było z nim łatwo. Wcześniejsze bolesne wydarzenia zostawiły w nim niezatarty ślad. Waszeba jednak nie odeszła. Nie zniechęciła ją ani jego wrażliwość, ani łzy wywołane kolejnym koszmarem sennym z echem przeszłości. Niestety on także dobrze ją poznał. Wiedział, że czasem wybucha gniewem. Wiedział, że zdarza jej się działać pod wpływem emocji. Gdy coś ją irytowało, nie działała racjonalnie, a jej słowa cięły niczym sztylet. Należał do niej. Czasem wyrażała to zbyt zachłannie, jakby poza zbliżeniami nie liczyło się nic innego. Czy o tym właśnie miała być ta rozmowa? O tym, że może ona wyczuwa jego wahanie? Wiedziałby. Już wcześniej by o tym wiedział.

Sai położyła głowę na ramieniu Oliwiera. O tej chwili marzyła przez cały dzień. O czasie tańca, gdy targowisko, na którym ustawiono weselne namioty rozświetlały z wolna zapalone lampiony. Na stołach zaś stawiano świece, czekając z nimi na nadejście nocy.

– Myślisz o słowach Seme? – zapytała cicho.

Była od niego starsza prawie o cztery lata. Jednak, zwłaszcza dzisiaj, gdy wreszcie połączyli swoje dłonie, wydał się jej bardziej dojrzały niż ona sama.

Bardziej opanowany. To zawsze dawało jej ukojenie. Jego obecność odpędzała smutek. Dziś czuła to bardziej niż kiedykolwiek.

Oliwier przytulił ją mocniej, zaskoczony niepokojem w jej oczach. Znał źródło tego lęku. Sam czasem go jeszcze odczuwał. Niepewność. Strach, że wszystko co dotąd udało im się odbudować, zostanie im zabrane, a ktoś, komu przyjdzie do

głowy, że może to zrobić, będzie próbował ich rozdzielić dla własnej rozrywki.

Ślad po Morenie. Po Ramozie...

Pocałował jej czarne, ozdobione kwiatami włosy, kolejny raz upajając się znajomym zapachem jaśminu i mydła, które tak lubiła. Zapachem, który tak dobrze pamiętał...

– Nie boję się – powiedział cicho, lecz pewnie, odganiając tym ponure myśli. – Ty także przestań się bać. To już za nami.

– Nie chcę cię stracić – rzekła cicho.

– Nie możesz się zdręzczać – powiedział jej łagodnie. – Będę z tobą, nawet jeśli mnie nie zobaczysz. Zdążymy zestarzeć się, zbrzydnąć i to wszystko, co teraz ma takie znaczenie – straci je. Będę przy tobie, aż będziesz miała mnie dość i zaczniesz rzucać we mnie przedmiotami, żebym tylko się wyniósł, choć na chwilę – powiedział z błyskiem w oku. Roześmiała się cicho. – Będę miał coraz więcej lat i może zacznę łysieć, a ty wciąż w moich oczach będziesz piękna. Sai – głos załamał mu się ze wzruszenia. – My już to mamy. Czasem ludzie spędzają całe życie na poszukiwaniach, dokonują złych wyborów, które zamykają ich dusze za kratami przyzwyczajęń, uległości, rezygnacji. Nas to nie dotyczy. Jesteś moją częścią. Ty nią jesteś! Masz w sobie wszystko, czego potrzebuję, żeby moje serce chciało bić! Nigdy mnie nie stracisz.

Objęła go mocno, zamykając ich mały świat w ramionach.

– Pamiętaj, że mi to obiecałeś... – wyszeptała, nim złożyła mu na ustach pocałunek.

To nie był koniec doniosłych wydarzeń tego dnia.

Na dany znak Azyłas zaczął więc zwoływać do siebie mieszkańców. Pośpiesznie ustawiono kilka krzeseł pomiędzy krę-

giem ludzi. Gorączkowo nawoływano tych, którzy zdążyli się już oddalić z nadejściem zachodu.

– Co się dzieje? – zapytał zaintrygowany Pafian, lecz wśród znajomych i rodziny nikt, prócz młodej pary, nie znał na to pytanie odpowiedzi. Dobrze się maskowali...

Oliwier uśmiechnął się porozumiewawczo do Sai, ujmując jej rękę.

– To wam się spodoba – rzucił jedynie tajemniczo Wiwanowi.

Ku zdumieniu hrabiego zaproszono jego i jego rodzinę do przygotowanych pośpiesznie krzeseł.

Kowal przejął inicjatywę. Chrząknął kilka razy dla uzyskania odpowiedniej barwy głosu.

– Drogi panie hrabio – zaczął uroczyście. – Szanowny panie Erolnie...

– Azylasie, wystarczy – przerwał mu Erlon z uśmiechem. – Zaraz zacznę się czerwienić...

Wszyscy się roześmiali. Powszechnie wiadomo było w miasteczku, że hrabia Erlon nigdy się nie wywyższał. Owszem, był stanowczy, jeśli tego wymagała konieczność, to wszystko. Wśród zebranych byli ludzie, którzy pamiętali, gdy zjawił się tu, aby osiąść na stałe z rodziną. Należał do nich kowal Azylas. Ci ludzie pamiętali także, jak wiele razem dokonali przez te lata, a zwłaszcza te dramatyczne chwile, gdy hrabia ramię w ramię stawał z nimi do walki.

Azylas uśmiechnął się, patrząc teraz na niego ze wzruszeniem. Erlon wyglądał na niewiele starszego niż wtedy, gdy tu przyjechał. W rzeczywistości minęło już ponad dwadzieścia lat i wielu z tych, którzy wtedy go witali, posunęło się z wiekiem, choć nie tak jak inni ludzie w królestwie. To była za-

sługa uzdrowiciela. Była to ta chwila, gdy patrząc na Erlona i jego przybranego syna, przypominały mu się inne chwile, te, w których tak wiele obaj, ojczym i syn, zrobili dla wszystkich.

Zwłaszcza oni, choć pozostali członkowie rodziny także wiele pomogli. Miłość tych ludzi scalała miasteczko.

Kowal rozejrzał się po zebranych. Zauważył wiele wzruszonych twarzy. Oni także o tym myśleli.

– Co się stało, Azylasie? – zapytał Wiwan łagodnie, poruszony serdecznością, jaka go zewsząd otaczała.

Zauważył, że dziadek i babcia przysunęli się do siebie. Waszeba nie wypuszczała jego dłoni ze swojej, a ojczym spojrzał na jego matkę z miłością. Zerknął na samotnego w tym gronie Pafiana. Porozumiał się z nim wzrokiem.

– Ano, jako że zebraliśmy się tutaj wszyscy, za pozwoleniem młodej pary – rzekł Azylas, na co wielu uśmiechnęło się do nich życzliwie – chciałbym was tutaj wszystkich uroczyscie o coś poprosić.

Wiwan wstał jako pierwszy, czując, że będzie to coś naprawdę ważnego. Pozostali szybko poszli za jego przykładem.

Kowal chrząknął nerwowo.

– Tak patrzę na ciebie, panie – zwrócił się do hrabiego Erlona – i myślę sobie, że to już dwadzieścia lat z okładem, jak z nami tu jesteś. Kiedy widzę cię nadal takim prawie jak wtedy, to nasuwają mi się te wszystkie wspomnienia z dawnych lat. – Erlon spojrzał na niego z mieszaniną smutku i wzruszenia. Pewnie patrzył teraz na siwiejące włosy na jego skroniach. – To dobre wspomnienia, panie hrabio. O tym, jak tu przyjechałeś, jak to wszystko urządziłeś, jak naprawiłeś. No i o tym, jak musiałeś nas przekonać, że nie jesteś taki jak... –

urwał zmieszany, a Erlon nie mógł powstrzymać uśmiechu, wiedząc, kogo ma na myśli. – jak to wielcy panowie są – zakończył dyplomatycznie kowal, na co wielu pokiwało głowami. – Popatrz teraz! – Powiódł dłonią dookoła. – Patrz, ilu ludzi tu stoi! Oni wiedzą, co teraz robię, wiedzą, że wesele na razie przerwane i żaden nie uciekł! Widzisz, Erlonie? My tu jesteśmy dla ciebie... – zakończył ze wzruszeniem.

Wiwana spojrzał na swojego przybranego ojca. Wszyscy zaczęli klaskać. Wzruszony do głębi Erlon przyjął czuły pocałunek swojej żony ze łzami w oczach.

– Dziękujemy ci za wszystko, co nam dotąd dałeś – rzekł uroczyście kowal. – I za naszą panią hrabinę, nasz kwiat, który rozjaśnia nasze serca, dobrą i kochaną. – Teraz kowal spojrzał na matkę Wiwana z czułością. – My dobrze wiemy, że to ona cię w tym wszystkim wspiera, ona nas tu do kupy zebrała, gdy jej syna do króla zabrali. Pani Leno, cieszymy się, żeś naszego hrabiego wybrała. – Skłonił się jej, na co odpowiedziała ukłonem, tuląc się do ramienia męża w milczeniu, niezdolna powiedzieć słowa. – Twoich rodziców pani szanujemy bardzo i lubimy za to, jak za wami stoją, a zwłaszcza jak naszemu hrabiemu zastąpili rodzinę, gdy tamta się go wyparła i wszystkich nas własnemu losowi zostawiła. – Tu ukłonił się dziadkom Wiwana, którzy uśmiechnęli się ciepło.

Babcia dotknęła z czułością ramienia Erlona, gdy padły te słowa.

Kowal nie czekał z dalszą mową.

– My wiemy, że tacy ludzie złego wychować nie mogli, dlatego Pafian... – zwiśił głos, patrząc figlarnie na Wiwana, dając mu tym samym znak, że specjalnie zaczął mówić o jego

bracie. Poruszony tak uroczystym i serdecznym potraktowaniem jego rodziny Wiwan poczuł, jak zaczyna drżeć z emocji.

– ...jest naszą chlubą i dumą, jakby był naszym dzieckiem.

Pafian uśmiechnął się, spuszczać wzrok. Czekał na słowa odnoszące się do jego brata.

Kowal sapnął, przejęty swoją rolą. Zawołał do tłumu:

– Dawać mi tu kufel, bo głos stracę!

Wielu się zaśmiało, łącznie z przyjaciółmi rodziny, którzy stali w tłumie obok Oliwiera i Sai, obserwując całe wydarzenie.

– Polać mu! – zawołał Ross wesoło.

Ktoś szybko spełnił prośbę kowala, który wypił duszkiem zawartość kufła, otarł wąsy i rzucił kufel na ziemię. Atmosfera wśród ludzi była radosna. Przez dobrą chwilę wszyscy po prostu się śmiali. Jednak Azylas, mistrz tej skromnej ceremonii, wykonał wreszcie znak ręką. Szybko zapanowało milczenie. Teraz każdy już zerkał na Wiwana, czekając na dalszą mowę.

Tu Azylas postanowił jednak trochę się jeszcze podroczyć.

– No i to chyba na tyle... – zaczął, udając że się zbiera.

Wówczas zgromadzeni gromko zaczęli nawoływać:

– WIWAN! WIWAN! WIWAN!

Wiwana ścisnął nerwowo dłoń Waszeby, czując napierające łyzy. Czegoś takiego jeszcze nigdy dotąd nie przeżył. Spotykał się z wieloma oznakami sympatii, to prawda. Nigdy jednak nie uhonorowano go w taki sposób. Nie wiedział, jak ma się zachować wobec całej tej życzliwości, której doświadcza. Nawet rodzina przyłączyła się do tych okrzyków.

Kowal ponownie uniósł dłoń. Widzowie zamilkli.

– Nie wiem, jak to powiedzieć... – zaczął poruszony kowal.

Kilka kobiet już ocierało łzy. – Ty dobrze wiesz, jak bardzo cię

kochamy – zwrócił się do Wiwana wśród uroczystej ciszy –
Czujesz to całym sercem, prawda?

Wiwana zdołał jedynie kiwnąć głową.

– Nie przestaję dziękować losowi, Matce Ziemi i całemu światu wszelkich duchów za to, że mamy tu ciebie – powiedział kowal ciepło. – Dziękuję pani Lenie, że wydała cię tu, na ten świat. Dziękuję panu Erlonowi, że pokochał was wbrew wszystkiemu i sprowadził do nas. Dziękuję wreszcie tobie – otarł nerwowo łzę z policzka, co już samo w sobie było widokiem niezwykłym – że z nami jesteś. A że to radośny dzień, nie będę mówił, jak bardzo bolało nas i boli to, co cię dotąd złego spotkało – dodał z powagą. – Mam nadzieję, że wam dwojgu poszczęści się w życiu. – Wskazał na Waszębę z uśmiechem. – Zaslugujecie na to. Chcielibyśmy, żebyś został z nami na zawsze, chociaż w naszych sercach, dlatego postanowiliśmy, że czas zacząć od nowa. Barnica kojarzy się z tym wszystkim, co dobre, ale i z tym, co złe. Chcielibyśmy, żeby od teraz wszystkim kojarzyła się z dobrym. Najlepszym, co nas spotkało. Z tobą przede wszystkim – skinął mu głową, a potem zwrócił się do pozostałych członków rodziny. – Erlonem. I waszą rodziną. Dlatego chcemy was o coś prosić. Za waszą zgodą pragniemy zmienić nazwę naszego miasteczka... – Odczekał chwilę, by do stojącej w środku rodziny w pełni dotarła ta prośba. – Nasza propozycja jest taka... – chrząknął nerwowo, widząc zaskoczone spojrzenia. – LE – to pierwsze litery naszej słodkiej pani Leny, twojej matki, bez której to wszystko nigdy by się nie zaczęło. – Skłonił się w stronę wzruszonej i zdumionej Leny. – Hrabia, twój ojciec, pewnie nigdy nie szukałby tu domu... Wybacz, Erlonie, ale coś w tym

jest – dodał, widząc nerwowy ruch. – Gdyby nie oni – wskazał na rodzinę Wiwana. – tkwiłbyś pewnie ze swoimi, uwięziony w tej ich złotej klatce. To dla nich się stamtąd wyrwałeś.

– Tak – odparł Erlon z powagą. – Nigdy tego nie żałowałem. I nie żałuję.

– Wiemy – odparł Azylas z błyskiem w oku. – To teraz dalej mówię... WI – od imienia naszego kochanego uzdrowiciela. – Wiwan zagryzł wargę, by się nie rozpłakać – Wreszcie, bo o tobie nie mogliśmy zapomnieć – skinał głową Erlonowi. – A wiedzieć musicie, że te litery nie tylko z tych imion się składają. Wszystkie wasze imiona w tym się dla nas kryją – powiedział rodzinie, szczególnie patrząc na Pafiana, by nie czuł się urażony. – LON – to ostatnie, od imienia Erlon. Tak żeśmy sobie to pozlepiali... – nabrał tchu. – LEWILON – to cała nazwa. Taką chcielibyśmy nadać miasteczku. Na waszą cześć. Was wszystkich – zakończył uroczyście.

Zapadła cisza.

Rodzina stała oniemiała pośród tłumy, nie śmiąc nawet uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Pierwszy usiadł Wiktor, czując, że nogi go już nie uniosą, po chwili dołączyła do niego żona, zakrywając dłonią drżące z emocji usta. Pafian położył dłoń na ramieniu brata. Wiwan spojrzał na przybranego ojca i matkę, która ucisnęła mu dłoń ze wzruszeniem.

Czuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

– Usiądź – nakazała mu łagodnie Waszeba.

Posłuchał jej, na wpół świadomie.

– Coś mi się zdaje, że chyba im się ten pomysł nie podoba – zauważył Azylas żartobliwie.

Tłum zaśmiał się cicho i szybko umilkł, słysząc pierwsze słowa Wiwana.

– Nie zasłużyłem na to... – powiedział drżącym głosem. – Nic takiego nie zrobiłem...

– Ja chyba zemdleję – dodał jego ojciec podobnym tonem.

– Bo to pierwszy raz? – zawołała rozbawiona tymi słowami Seme.

Jej cięty dowcip sprawił, że rozległ się cichy śmiech, gdy jednocześnie ożyły wspomnienia. Tym razem jednak okrzyk Seme działał cuda. Erlon poczuł, jak kąciki warg drgają mu mimowolnie. Tak, pamiętał...

– Ross – matka Wiwana rozejrzała się za ich przyjacielem.

– Pomóż, proszę...

Ona jedna nie straciła głowy, nie licząc Waszeby. Obie uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

Ross zjawił się zaraz przy nich, delikatnie dotykając ramienia uzdrowiciela.

Wiwana odetchnął, czując opuszczającą go niemoc pod wpływem kojącego działania Klejnotu Nadziei. Ross uśmiechnął się ciepło. Potem podszedł do pozostałych.

Wiwana czuł, że zgromadzeni ludzie czekają na ich słowa. Widział ich niepewne spojrzenia, uśmiechy pełne niepokoju. Zebrał się w sobie. Zasłużyli na podziękowania.

– Jesteśmy ogromnie wzruszeni – powiedział zebranym. – Jeszcze nigdy... – urwał, bo te słowa wydały mu się zbyt banalne, zbyt mało kryło się w nich emocji. – To dla nas bardzo wiele znaczy. Żałuję, że nie można oddać w tej nazwie imion wszystkich tu zgromadzonych – wskazał drżącą ręką – ale, jak powiedział nasz wspaniały Azylas – pozwolił, by łąza wreszcie spłynęła mu po policzku – dla nas w każdej z tych liter jesteście WY. Każdy z was. Od dziś ta nazwa będzie nam się koja-

rzyła z tym dniem – spojrzał na Oliwiera i Sai – i tą chwilą. To my dziękujemy wam.

Zobaczył wiele pełnych ciepła uśmiechów.

– A ja dodam jeszcze – odezwał się Erlon głosem nabrzmiałym ze wzruszenia – że jutro o świcie Wiwan i ja wyślemy list do króla i królowej, powiadamiając ich o nowej nazwie, prosząc, by wszystkie dotychczasowe przywileje, w związku z nowymi okolicznościami, obowiązywały nadal, i by miasteczko Lewiron uzyskało pełne prawa miejskie. Miasteczko ogromnie się rozrosło od ostatniego czasu, pora więc, by stało się pełnoprawnym miastem portowym.

Wszyscy krzyknęli radośnie.

– Za to musimy wypić! – zawołał kowal, podnosząc kufel. Ktoś szybko mu polał. – Za naszych wspaniałych Beckertów! – Wzniósł toast. – Za miasto Lewilon!

– Za Lewilon! – zawołali wszyscy.

Wiwan spojrzał na ojczyzna. Uśmiechnęli się do siebie, unosząc kufle do zupełnie przez nich niespodziewanego toastu.

Gdy świece zapłonęły w lampach, a wokół zapadł zmrok, Ross obserwował taniec świateł, podziwiając subtelnie wprowadzony klimat. Nie musiał pilnować nastrojów biesiadników. Mógł zwyczajnie cieszyć się chwilą. Jego białe włosy wyróżniały się w ciemnościach. Jasne ubranie, szyte na modłę munduru, jak na kapitana przystało, oraz kapelusz dopełniały dzieła. Przycmiał nawet nieco samego Oliwiera, jak mówili niektórzy, lecz on się z tym nie zgadzał. Uroczyste ubranie pana młodego, z dodatkami w kolorze sukni żony, było po prostu utkane w innym stylu. Oliwier prezentował się w nim znakomicie.

– O czym myślisz? – zapytał go Sel.

Spokojny nastrój Rossa prysnął natychmiast niczym bańka mydlana, lecz odwrócił się do niego z uśmiechem.

– O Lewilonie – odpowiedział cicho.

Sel przyjrzał mu się z troską, wyczuwając kłamstwo. Nie chciał, żeby te słowa wciąż wisiały między nimi. Wolałby wydrzeć mu je z pamięci. Zabolało bardziej, niż się spodziewał.